

Marta Kwaśnicka

W  
I  
D  
O  
K  
I





**Marta Kwaśnicka**

# **WIDOKI**

Wydawnictwo M  
Kraków 2024



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---



Publikacja powstała dzięki wsparciu Instytutu Literatury  
Zrealizowano w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego na 2021  
rok

Korekta: Dariusz Godoś

Opracowanie graficzne wersji do druku: Edycja

Okładka: Anna Dąbrowska-Filip

© Copyright by Marta Kwaśnicka, 2024

© Copyright by Wydawnictwo M, 2024

ISBN 978-83-8043-826-2

Wydawnictwo M

31-159 Kraków, al. J. Słowackiego 1/6

tel. 12-259-00-03

e-mail: [biuro@wydawnictwom.pl](mailto:biuro@wydawnictwom.pl)

[www.wydawnictwom.pl](http://www.wydawnictwom.pl)

Księgarnia wysyłkowa: tel. 12-259-00-03; 721-521-521

e-mail: [bok@klubpdp.pl](mailto:bok@klubpdp.pl)

Zamówienia hurtowe: tel. 601-954-951

e-mail: [handel@wydawnictwom.pl](mailto:handel@wydawnictwom.pl)

Przygotowanie wersji elektronicznej

[Epubeum](#)

*Przeciwstawianie sobie poglądów, nawet bez podejmowania decyzji w kwestii tego, który z nich jest słuszny, stanowi miły sposób spędzania czasu; a jeśli temat jest ambitny i interesujący, dialog umieszcza nas (w pewnym sensie) w towarzystwie osób biorących w nim udział. W ten sposób rozmowa potrafi połączyć dwie największe i najczystsze przyjemności ludzkiego życia: naukę i przebywanie w towarzystwie innych.*

David Hume

# 1.

- A wydawało się, że pogoda dopisze – westchnęła z rezygnacją Anna.

Po upalnym poranku nastąpiło zaskakująco pochmurne popołudnie. Niebo wyblakło i przybrało nijaki kolor, tymczasem w słowniku Anny było niewiele przymiotników o zabarwieniu bardziej pejoratywnym niż „nijaki”.

Zanosilo się na deszcz. Gospodyni czuła zawód. Za moment mieli przyjechać goście, a jej wyjątkowo zależało na tym, żeby wszystko wypadło jak najlepiej. Obiad, który ich czekał, miał być popisem, prawdziwym towarzyskim *tour de force* – dowodem na to, że tu i ówdzie ciągle pilnuje się standardów, nawet jeśli chodzi o sprawy tak niewiele znaczące jak wakacyjny posiłek ze znajomymi. Zresztą – tak dawno nie widziała się ze wszystkimi „na żywo”!

Już dwa tygodnie wcześniej Anna zaplanowała wszystko ze szczegółami. Przemyślała dobór gości, układ stołu i to, co miało się

na nim pojawić; przygotowała też kilka tematów do przedyskutowania na wypadek, gdyby rozmowa przestawała się kleić. Gospodyni nie chciała, żeby spotkanie wypadło zbyt książkowo. Nikt nie mógł odnieść wrażenia, że gotuje się tu z poradnikiem w ręku albo przesadnie wysiła – posiłek miał być, jak mówiła, „nieco nieortodoksyjny, ale kunsztowny”, miał też zdradzać smak gospodarzy. Pogoda należała jednak do spraw, których nie dało się zaplanować.

Było jeszcze lato, więc Anna nie przyjmowała do wiadomości, że coś tak prozaicznego jak ulewa czy mżawka mogłoby niekorzystnie wpłynąć na atmosferę „jej” wieczoru. Chciała, aby goście mogli wyjść do ogrodu, bo tylko stamtąd dało się w pełni docenić elegancję budynku i trud, jaki wkładano w jego utrzymanie. W minionych tygodniach porządnie się napracowała, nadzorując przeróbki. Poza tym wszystko ciągle kwitło – dopisały róże, owocowały jabłonie. Wystarczyło przejść się kilkadziesiąt metrów po stoku, żeby nabrać owego poczucia sytości, do którego tęskni się zimą, kiedy do rąk wpadnie nam zdjęcie umajonej łąki. Z okien jadalni widać było całą dolinę. Obserwowana stąd przy dobrej pogodzie wyglądała jak plansza do gry albo pejzaż starego mistrza, na którym można było śledzić miniaturowe losy mieszkańców, ich posty, karnawały i codzienne dramaty. Anna lubiła je śledzić. Trudno byłoby to wszystko zobaczyć, gdyby padał deszcz.

– Może się jeszcze przejaśni. Letnie ulewy szybko mijają. – Krystyna wyjrzała przez okno. Odłożyła nóż, którym przed chwilą obierała owoce na deser, i przeciągnęła się.

- O tej porze roku z pogodą nie ma żartów. Chyba już czas przygotować się do jesieni - stwierdził sentencjonalnie Filip.

Od dłuższej chwili krzątał się nieopodal, sprawdzając kompletność zastawy. Stół przygotowały dzieci, mogło więc czegoś brakować. Najmłodsza z córek jeszcze nie liczyła najlepiej; mogła na przykład przynieść za mało łyżeczek, a potem pobiec gdzieś z bratem i zapomnieć o zadaniu, jakie jej powierzono, czego najstarsza, odpowiedzialna za pozostałe sztuce, mogła z kolei nie zauważyć. Być może zatem brakowało czegoś albo coś zostało źle ułożone. Srebra były zresztą stare, lwowskie, ozdobione roślinnym ornamentem; zdobyli je z Anną na targu staroci i z trudem przemycili do Polski - szkoda, żeby coś miało się zgubić. Poza tym Filip nie miał nic innego do roboty; odwiózł dzieci i przyniósł ostatnie zakupy. Teraz mógł jedynie przypatrywać się kuchennym czarom żony nadającej ostateczny kształt potrawom. Krystyna pomagała w gotowaniu; gospodyni czasem rzucała w jej stronę krótkie uwagi albo spoglądała jej przez ramię, ani przez chwilę nie tracąc kontroli nad całością przedsięwzięcia.

Willa rodziców Anny była przyjemnie staroświecka, warta tego, żeby ją podziwiać. Zbudowano ją sto lat wcześniej na fali popularności stylu zakopiańskiego. Architekci mieli chyba ambicje nawiązania kształtem do Koliby czy Witkiewiczówki, ale ostatecznie wyszedł dom nieco eklektyczny, trochę górski, a trochę nizinny, podobny tyleż do chat zakopiańskich, co do mazowieckich świdermajerów. Budynek posiadał wszystkie cechy willi wypoczynkowej - miał szlachetne proporcje, był drewniany, ale przestronny; sprawiał wrażenie ażurowego. Na parterze



znajdowała się przeszklona weranda, na piętrze zaś klasyczny podokapowy balkon z rzeźbioną balustradą.

Swojego czasu rodzice Anny odkupili ten dom po okazyjnej cenie od jakiejś podupadającej firmy. Zrobili to w czasach, kiedy rynek nieruchomości pozwalał jeszcze na podobne inwestycje. Wcześniej budynek służył jako miejsce wczasów pracowniczych i wyjątkowo go zaniedbano. Rodzice Anny – i Anna, bo córka profesorostwa od początku brała udział we wszystkich pracach – stopniowo podnieśli dom z ruiny, wymienili dach i okna, odnowili pokoje. Tam, gdzie się dało, przywrócili kominki i stare piece.

W willi było wiele sypialń i można było tam zjechać w większym gronie. Największą dumą gospodarzy był ogród zimowy, w którym jadano nie tylko podczas niepogody czy upału, ale także dla czystej przyjemności przebywania w rozświetlonym wnętrzu, z którego roztaczał się niezapomniany widok na dolinę. Przesiadywano tam często, również w czasie mrozów, ponieważ nikt nie potrafił oprzeć się urokowi tej przestronnej sali i każdy, kto ją zobaczył, wolał raczej marznąć niż zrezygnować z niezwykłego prospektu.

Teraz ciągle był sierpień, ale chłód mógł już dać się we znaki. W górach coraz częściej zdarzała się ślota, a noce bywały zimne. Tak, lato zdecydowanie się przesilało; przypominało dojrzałą osobę, która ciągle jest w pełni sił, ale z dnia na dzień coraz częściej odkrywa w sobie skłonność do łapania zadyszki. Za dnia słońce świeciło mocno i letnikom nadal zdarzało się spędzić leniwe popołudnie w ogrodzie. Po zmierzchu temperatura spadała jednak gwałtownie i nie można było wyjść po zmroku, nie zabierając ze sobą przynajmniej swetra. O świcie okolicę spowijała gęsta mgła, co było wyraźną zapowiedzią jesieni.

Krystyna, choć pomagała w przygotowaniach, była tutaj gościem. Kilka lat wcześniej poznała Annę na jakimś spotkaniu literackim, na które ta druga przyszła, bo należała do znajomych fetowanego autora, a gdzie Krystyna trafiła przypadkiem. Była odludkiem i rzadko zdarzało się jej przychodzić na jakiekolwiek imprezy. Wtedy tak się stało – być może zainteresował ją tytuł książki, a może z domu wygonił ją niepokój, który czasami uniemożliwiał jej siedzenie w miejscu. Nie wiedziała, skąd się brał. Po prostu od czasu do czasu budziła się z nim – otwierała oczy i wiedziała, że tego dnia musi wyjść z domu dokądkolwiek albo zrobić coś, co wychodziłoby poza jej rutynę, bo w przeciwnym razie kolejny dzień zostanie przez nią zupełnie zmarnowany. Zdarzało się jej wówczas powierzać swój los przypadkowi: przyjmowała czyjeś zaproszenie lub szła gdzieś bez wyraźnego powodu, jakby kupowała los na loterii, licząc, że coś się wydarzy: na skutek jakiegoś zbiegu okoliczności jej przyszłość objawi się przed nią jak gotowa ścieżka, a ona zrozumie, czego powinna pragnąć i w jakim kierunku podążać.

Tamten wieczór okazał się owocny – usiadła obok Anny i tak od słowa do słowa zaczęła się ich znajomość, która dość szybko przerodziła się w zażyłość. Mimo różnicy wieku zaprzyjaźniły się na tyle, że po kilku miesiącach Krystyna stała się stałym bywalcem tego domu, rodzajem przysposobionej młodszej siostry, dorosłej, ale jeszcze nieposiadającej własnej rodziny. Była towarzyszką, którą chętnie miało się pod ręką: pomagała we wszystkim i cierpliwie zajmowała się dziećmi.

Kryśka, chociaż już po studiach, sama była jeszcze dzieckiem – tak oceniała ją Anna za każdym razem, kiedy jej wzrok padał na

zgarbione plecy przyjaciółki – a przynajmniej była na tyle dziecinna, żeby znaleźć wspólny język z jej gromadką. Gospodyni miała wrażenie, że od pewnego czasu wychowuje nie tylko swoje dzieci, ale i tę dziwną, zawsze nieobecną dziewczynę. Czuła, że Krystyną trzeba pokierować, żeby wyszła na ludzi; że trzeba ją oszlifować i wyprowadzić na szerokie wody, a potem przedstawić wpływowym znajomym. Ktoś musiał wziąć sprawy w swoje ręce, w przeciwnym razie ta niezwykła, choć trochę niezaradna istota musiałaby się zmarnować i zagubić. Anna nie zamierzała na to pozwolić.

„Dobrze, że dzisiaj jest tutaj”, westchnęła teraz, „bardzo nam pomogła”.

– Chyba gotowe. Pieczenie zostawię już na twojej głowie i pójdę się przebrać – powiedziała Krystyna, zdejmując fartuch.

Anna z satysfakcją rozejrzała się po kuchni. Lubiała podobne chwile: poczucie gotowości, kiedy nerwowe przygotowania dobiegały końca. Czuła się wtedy jak gwiazda teatralna na chwilę przed ostatnim dzwonkiem – pewna siebie, chociaż nieco przejęta. Rutyna nie przeszkadzała jej odczuwać tremy, nawet jeśli podenerwowanie łączyło się z wiarą we własne zdolności i przekonaniem, że większość widzów przyszła tam ze względu na jej sztukę.

– Dziękuję za pomoc, kochana – odpowiedziała przyjaciółce i uśmiechnęła się miękko, dokładnie tak, jak diwy zwykły uśmiechać się do dziewcząt z chóru: ciepło, jakby z otuchą, aby jeszcze bardziej zachęcić je do artystycznego współnictwa. – Jeśli możesz, zapukaj do Urszuli i przypomnij jej, że goście wkrótce tu będą – dorzuciła.

Krystyna skinęła głową i bez słowa zniknęła za drzwiami.

## 2.

Urszula przyjechała pociągiem tego samego przedpołudnia. Filip odebrał ją z dworca w najbliższym miasteczku i wwiózł na górę razem z ostatnią porcją produktów, które miał kupić przy okazji bytności w dolinie. Urszula pojawiła się zatem w towarzystwie skorupiaków, włoskich pomidorów i najlepszej oliwy *extra vergine* jako jeszcze jeden niezwykły produkt, który jest nie do dostania w małych górskich sklepikach i który sprowadza się z daleka nie tylko dlatego, że się go lubi, lecz także po to, aby uświetnić wydawany obiad.

Była starą znajomą Anny. Kiedyś chodziły razem do klasy w jednym z najlepszych krakowskich liceów, takim, w którym ciągle uczono greki, a na korytarzach ustawiano popiersia wielkich osobistości. Zwykle siadały w jednej ławce. To, co je łączyło, nie było chyba typową przyjaźnią, raczej rodzajem długotrwałej, obopólnej aprobaty, czymś na kształt zażyłości przez zasiedzenie. Nie widywały się często, nie spotykały na plotkach. Raz na jakiś

czas jedna telefonowała do drugiej, a potem wpadała z rutynową wizytą. Zwykle zdarzało się to latem i na ogół to Urszula przyjeżdżała do Anny, czasem z synem, a czasem sama, jeśli Fufulcio, jak go nazywała, miał wtedy inne, przyjemniejsze zajęcia. Dawne koleżanki spędzały razem kilka dni, podczas których Urszula nie mówiła wiele. Zwykle słuchała gospodyni, o sobie opowiadając mało, po czym ponownie znikwała z życia Anny na rok lub dłużej. Była to zatem znajomość pozbawiona wzlotów i upadków; relacja może nie gorąca, ale trwała, która zdążyła obrosnąć we własne dziwactwa i rytuały.

Na pierwszy rzut oka Urszula wyróżniała się z otoczenia jedynie nieco ekscentrycznym stylem bycia. Obnosiła się ze swoją niezależnością, jakby był to rodzaj trofeum uzyskanego po długich i nieprzyjemnych zmaganiach. Pewnie nie byłaby tak atrakcyjnym gościem, gdyby nie jej rodzinne koligacje – pochodziła bowiem z bocznej linii prastarego senatorsko-dygnitarskiego rodu, a nazwisko, które nosiła, padało po wielekroć w każdym podręczniku historii. Od końca średniowiecza jej przodkowie bywali wszędzie, na sejmach i prawie na każdej wojnie, władali wioskami, miastami i województwami, zdradzali królów lub przy nich stali, czasem swatając swoje córki mieszkańcom dworu. Wśród licznych rozgałęzień drzewa genealogicznego Urszuli można było znaleźć biskupów, marszałków i hetmanów, a nawet egzotycznych baronów i książąt. Teraz jej krewni stylem życia nie odbiegali już od innych umiarkowanie zamożnych krakowskich rodzin; nie wyróżniała ich nawet niewielka kolekcja starej, dobrej sztuki, jaką posiadali. Jeśli Urszula wspominała czasem o Boznańskiej czy ulubionych Kossakach swojego ojca, to przecież

takie obrazy w „starym” Krakowie mieli prawie wszyscy, w tym rodzice Anny, choć oni kupili je, a nie otrzymali w spadku. Inteligencja, patrycjat i arystokracja od wielu dekad coraz bardziej upodabniali się do siebie i jeśli w ogóle cokolwiek wyróżniało jeszcze dawnych ziemian, były to rzeczy znacznie mniej oczywiste: stare kredensy, dokumenty i portrety mało urodziwych praprababek, upchnięte po salonach kuzynostwa lub oddawane w depozyt lokalnym muzeum. Różnicą były także rodzinne wspomnienia.

Anna wiedziała, że do końca ostatniej wojny przodkowie Urszuli posiadali dwór i sporą połąć ziemi gdzieś na wschód od Krakowa. Dobra te zostały im odebrane i rozparcelowane, a o ich zwrot potem, po upadku komuny, pozostali przy życiu krewni nie chcieli się starać. Na terenie ich dawnego majątku osiedlili się miejscowi. Przedwojenne zabudowania zostały albo zburzone, albo gruntownie przebudowane; przywracanie im świetności groziłoby bankructwem. Do dawnego świata nie było powrotu – także ziemianie przyzwyczaili się do życia w mieście. Lepiej było pozostawić sprawy takimi, jakimi były, a pałace jedynie wspominać.

Choć zatem, pożegnawszy się z ostatnimi śladami materialnej wielkości, rodzina Urszuli nie wyróżniała się z otoczenia i chociaż ona sama rzadko mówiła o swoich korzeniach, to wszyscy znajomi wiedzieli, że w czasie zaborów jeden z jej bezpośrednich przodków otrzymał od cesarza tytuł hrabiego. Z tego powodu czasem w towarzystwie przezywano ją hrabianką. Robiono tak oczywiście dla żartu, był to jednak jeden z tych żartów, które, dotycząc spraw związanych z prestiżem i statusem, w rzeczywistości są

śmiertelnie poważne. Na swoje przezwisko owa wysoka kobieta o ostrych, nieco ptasich rysach, w dodatku nosząca się raczej po męsku niż w sposób kojarzący się ze szlachciankami i królewnami, reagowała zresztą z charakterystycznym dla siebie sarkazmem. Tak naprawdę była samotną matką po rozwodzie i lekarzem geriatrą zatrudnionym w jednej z miejskich poradni.

Mimo że widywały się rzadko, Anna ucieszyła się, kiedy Urszula znowu zapowiedziała swoje przybycie. Teraz, stojąc przy kuchennym stole i patrząc na okno, przez które już za moment miała zobaczyć kolejnych gości, gospodyni czuła satysfakcję, że tego wieczoru będą przy niej obie przyjaciółki, Urszula i Krystyna – jedna, aby uświetniać obiad swoim wybornym *désintéressement*, druga, żeby jak małe dziecko oswajać się z ludźmi i próbować sił w konwersacji. Obie kobiety były niezwykle, co Anna stwierdzała z przyjemnością, ilekroć czyniła bilans zawartych i zakończonych znajomości. Te dwie stanowiły rzadkie okazy, punkty graniczne na mapie towarzystwa zapraszanego przez Annę: ekscentryczna arystokratka i zakompleksiona pisarka, która, jeśli nad nią popracować, mogła w przyszłości stać się wielką dumą swojej promotorki; stara znajomość i nowa przyjaźń; splendor znakomitego rodu i obiecujący debiut. Trudno było wyobrazić sobie lepszą konfigurację.

Była sobota, wczesne popołudnie. Anna i Filip zwykle umawiali się na soboty – po wielu latach przyjmowania gości pierwszy dzień weekendu stał się dla nich rodzajem dawnego żurfiksu, choć oczywiście kalendarz przyjmowanych wizyt nie był ani w połowie tak napięty jak te, które regulowały kiedyś życie wyższych sfer. Życie towarzyskie Anny i Filipa było raczej bladym echem tamtego,



a nawet ich własnego, tego, które sami prowadzili kilkanaście lat wcześniej. Był to, jak sądzili, naturalny koszt czasów – intensywnych, zwłaszcza jeśli się chciało porządnie zarabiać – a także skutek poważnie traktowanego rodzicielstwa.

Poza tym ciągle trwała pandemia, długa, na co dzień niewidoczna, znana głównie z obostrzeń i cudzych opowieści. Nie, Anna nie była covidową sceptyczką, wierzyła w istnienie wirusa, ale nie dało się ukryć, że choroba zbierała żniwo głównie gdzie indziej – we Włoszech, w Hiszpanii czy w Anglii, czasem wśród dalszych znajomych. Z powodu kwarantann życie towarzyskie Anny i Filipa stało się jeszcze bardziej skromne – od kilkunastu miesięcy nie widywali się w zasadzie z nikim spoza rodziny. Dopóki zaś lato trzymało na tyle mocno, że informacje o możliwym powrocie wirusa nie robiły na nikim większego wrażenia i dopóki od dawna nikt z ich otoczenia poważniej nie zachorował, wszystko mogło nareszcie powrócić na dawne tory.

Kucharsko-towarzyska pedanteria Anny była rodzajem niewielkiego bzika. Mało kto urządzał już podobne wieczorki we własnym domu, chyba że chodziło o Wigilię czy inny świąteczny posiłek, który jadło się razem z rodziną i którego menu oraz przebieg były ściśle regulowane przez tradycję. Ale przecież i w tej kwestii coraz częściej zdarzały się wyjątki – nawet najważniejsze okazje można było bez kłopotu „załatwić” w restauracji, chociaż w wielu domach podobne ułatwienia nadal uważano za świętokradztwo. Mało kto miewał jednak czas i ochotę, aby z byle powodu podejmować gości własnoręcznie przygotowanymi obiadami. Zapraszano się co najwyżej na lekkie kolacje albo na przekąski z winem, natomiast urodziny, imieniny, rocznice –

i wszystkie inne okazje wymagające porządniejszej oprawy – od dawna organizowano na mieście, żeby się niepotrzebnie nie zamęczać dodatkową pracą.

Anna uwielbiała podobne wyjścia; lubiła, kiedy Filip prowadził ją do stolika, a potem zamawiał wino do obiadu i odprawiał z kelnerem rytuał sommeliera: oglądał, wąchał i smakował trunek, jaki za chwilę mieli pić jego goście; czasem mówił, że było „korkowe”, i odsyłał butelkę, czasem zaś, zmarszczywszy czoło, kiwał z uznaniem głową, a kelner skłaniał się lekko i nalewał wina wszystkim biesiadnikom, trzymając butelkę od dołu, w sposób, który Annie zawsze wydawał się zabawny, ale szykowny, ponieważ stanowił nieodzowny element całej ceremonii.

Mimo to gospodyni lubiła czasem bez powodu ugotować coś specjalnego, a widok gości zgromadzonych wokół stołu i chwających jej kuchnię sprawiał jej wielką przyjemność. Wszystko zdawało się wówczas znajdować na właściwym miejscu, ona zaś czuła się panią swojego mikroświata, wszechmocną i dobrotliwą czarodziejką, która ma moc zaprowadzania ładu oraz obdarowywania wszystkich uczuciem sytości i spokoju. Było w tym coś kojącego także dla niej. Czy nie zasłużyli na taką ucztę właśnie teraz, po okresie długiej posuchy?

Jeżeli nadchodzącego wieczoru Annie miało czegokolwiek brakować, to tylko jej dzieci. Wiedziała, że są w dobrych rękach i że na pewno bawią się znakomicie, dużo lepiej, niż gdyby kazała im zostać w domu i nudzić się przy stole. Zanim jednak Filip zawiózł je do sąsiadów na jakiś kinderbal połączony z nocowaniem, pomogły ułożyć talerze i sztuce. To był ich tradycyjny wkład, ile razy szykowano się do bardziej uroczystych posiłków. Anna nie miała

zamiaru folgować im w tej kwestii nawet wtedy, kiedy obiad był szykowany dla kogoś innego. „Dzieci muszą się przecież nauczyć obowiązkowości i tego, że nie zawsze pracuje się tylko dla własnej korzyści” – tłumaczyła Krystynie, która prawie zawsze próbowała je wyręczać. „Jesteś dla nich zdecydowanie za miękka” – mówiła, grożąc przyjaciółce palcem – „pozwalasz im wchodzić sobie na głowę. Jeśli będziesz kiedyś miała swoje dzieci, kompletnie je rozpuścisz”.

### 3.

Oboje – i Anna, i Filip – pochodzili z rodzin profesorskich, zaangażowanych w szlachetne problemy akademii. Już na pierwszy rzut oka stanowili doskonale dobraną parę. Mieli podobne upodobania. Z domów o zbliżonym statusie wynieśli te same nawyki i przekonanie o konieczności „trzymania poziomu”. Także poglądy ich rodziców, nawet jeśli nieco różniły się szczegółami, ponieważ jedni należeli do konserwatystów, a drudzy byli raczej liberałami, ostatecznie sprowadzały się do umiłowania hierarchii i spokoju. Jeśli zatem podczas spędzanych wspólnie świąt rozmowa schodziła czasem na tematy polityczne, co w Polsce było nieuniknione, bo o polityce rozmawiało się tu równie często jak w Anglii o pogodzie, to dyskusja tego rodzaju kończyła się nie krzykiem, jak zdarzało się w innych domach, tylko zakłopotanymi uśmiechami wzajemnego niezrozumienia. Wystarczyło jednak, aby na stole pojawiła się butelka kilkunastoletniego *single malta*, żeby

utracona harmonia została przywrócona, a kontrowersje zniknęły równie szybko, jak się pojawiły.

Spowinowaczone rodziny, mimo wielkich podobieństw, nie były sobie równe i chociaż wszyscy teściowie mieli tytuły naukowe, a także wszyscy pełnili istotne funkcje w swoich instytutach, to jedni znaczyli w świecie akademii nieco więcej od drugich. Były to niuanse widoczne tylko dla zaawansowanych, tych, którzy orientowali się w zwyczajach życia uczonych, ale przecież namacalne na tyle, że dało się je wyczuć i opisać. Profesora głównego krakowskiego uniwersytetu, a takim był ojciec Anny, powszechnie uważano za kogoś bardziej godnego uznania niż wykładowcę prowincjonalnej akademii, nawet jeśli niewiele różnili się dorobkiem. Koledzy z mniej ważnych szkół, o ile nie byli wielkimi sławami i nie mieli znajomości w stołecznych redakcjach, budzili w profesorach głównych uniwersytetów szacunek zaledwie grzecznościowy. Było to być może poważanie podobne do tego, jakim kiedyś magnateria obdarzała średnią szlachtę, niby równą stanem, a przecież należącą do innego świata i nieposiadającą ani odrobiny przywilejów, którymi cieszyli się magnaci. Względy okazywane hreczkosiejowi przez wielmożę były odruchem, konsekwencją prawa, ale nie stało za nimi przekonanie o rzeczywistej równości.

Tak było tutaj. Rodzice Anny, pracując na lepszych uczelniach, stali w hierarchii wyżej niż rodzice Filipa, którzy wykładali gdzieś na Śląsku – gdzie dokładnie, nie było nawet warto sprawdzać. Na to nakładały się inne subtelności. Ojciec Anny był słynnym literaturoznawcą, członkiem licznych kapituł i rad naukowych, matka – adiunktem na tym samym wydziale filologicznym, na

którym królował jej mąż. Rodzice Filipa mogli poszczycić się „zaledwie” profesją archeologów, co sprawiało, że oczywiście chętnie słuchano opowieści o ich badaniach i egzotycznych wyjazdach, ale niechętnie przychylano się do ich poglądów, które, rzecz jasna, jako wygłaszane przez prowincjonalnych starożytników, musiały grzeszyć pewnym oderwaniem od rzeczywistości. Poza tym w pierwszej rodzinie, Anny, uczeni pojawiali się od pokoleń – była to typowa stara rodzina inteligencka, taka, której członkowie, znalazłszy się na ludowej biesiadzie, przekazują sobie ponad tłumem spojrzenia pełne współczucia. Jeden z pradziadków Anny był lwowskim historykiem sztuki, kolejny blisko współpracował ze Stefanem Banachem, a jeszcze inni przodkowie pełnili ważne funkcje w austriackiej administracji. Aktywizm był w ich rodzinie dziedziczny: matka i ojciec Anny poznali się w opozycyjnym stowarzyszeniu studenckim, potem pomagali Solidarności. Na takim tle przodkowie Filipa wypadali blado: byli tylko rzemieślnikami. Pochodzili z małych kresowych miasteczek, skąd następnie trafili na Śląsk, gdzie prowadzili życie pozbawione właściwości. Potomkowie kuśnierzy i szewców ciągle nie mogli równać się z dziećmi profesorów, a przynajmniej nie mogli się równać w świecie, w którym wartość człowieka nadal, mimo wszystko, mierzyło się według starych miar majątku i pochodzenia.

Student, którego dziadkowie nie mieli wyższego wykształcenia, w świecie akademii nadal był kimś na kształt stażysty i jego osobiste zalety nie zawsze mogły zatrzeć fakt niewystarczająco dobrego pochodzenia. Nawet z doktorską tubą w dłoni, ale bez

odpowiednio długiej listy wiarygodnych przodków czy krewnych, choćby z KPP lub ONR, najlepiej związanych ze stolicą (potępiając czyjeś wybory ideologiczne, ciągle można było przecież zachwycać się inteligencją i bezkompromisowością, a nade wszystko tym, że dana osoba była w samym środku ważnych wydarzeń), nawet zatem z dyplomem, ale bez odpowiednio rozpoznawalnego rodowodu, kandydat na akademika wciąż nie był godny zaufania. Kontury jego osobowości ciągle niknęły w półmroku i pozostawał *homo novus*, kimś, kto dopiero stawiał pierwsze kroki w dobrym towarzystwie i nabywał ogłady. Dopiero jego dzieci mogły automatycznie otrzymać obywatelstwo w hermetycznym kręgu polskiej elity.

Rodzina profesorska była jednak rodziną profesorską i Filip pochodził z takiej, nawet jeśli była ona dość „świeża”; dawał też rodzicom Anny wystarczającą ilość powodów do dumy. Nie zawiódł zaufania, którym go obdarzono, kiedy przyszedł poprosić o rękę ich córki. Wybił się bardzo szybko – najpierw jako szef krakowskiej korporacji studenckiej, w której nazywano go szumnie „prezesem”; liznął też nieco polityki, startując w lokalnych wyborach i przez jakiś czas piastując godność miejskiego radnego. Teraz wykładał na tym samym starym uniwersytecie co jego teść. Jeżeli można byłoby w jego przypadku mówić o rodzinnej inwestycji, to była udana – zaczynała się zwracać ze sporą nawiązką. Poza tym Filip i Anna doczekali się czwórki dzieci, na punkcie których dziadkowie mieli prawdziwego bzika. Anna od lat próbowała godzić obowiązki matki z własną karierą naukową. Gdzieś pomiędzy drugą a trzecią ciążą obroniła doktorat. „O tak, Ania z Filipem”, zachwycono się powszechnie, „ci

poradziliby sobie ze wszystkim! Wspaniała rodzina, sukcesy, kindersztuba, habilitacja w drodze – i jeszcze to niezwykle poczucie humoru obojga, które sprawia, że każdy lubi ich towarzystwo”.

W ostatnich latach to oni najczęściej gościli w willi. Zimą przyjeżdżali na narty, latem spędzali tam co najmniej kilka tygodni. Mimo wszystkich swoich osiągnięć ciągle byli małżeństwem na dorobku i chętnie korzystali z górskiego domu, zwłaszcza że właściciele, czyli rodzice Anny, bywali w nim rzadko. Podczas wakacji zwykle podróżowali po świecie, tymczasem byłoby szkoda, gdyby ich piękna posiadłość stała pusta. Kiedy zatem profesorostwo bawili w Nowym Jorku czy Paryżu, przygotowując się do przejścia na emeryturę, Anna gospodarzyła w willi – dbała o wystrój domu i ogród, nadzorowała większe naprawy i przeróbki, kupowała na aukcjach dzieła sztuki. Czasem przyjmowała gości. Willa przeżywała wówczas swoje najwspanialsze chwile. Ciepła, rozświetlona, widoczna z doliny, stawała się tym, czym powinna i czym być może miała się stać również w przyszłości, kiedy rodzice Anny osiedliby tu na stałe: była centrum życia rodzinnego i towarzyskiego, wygodną wiejską przystanią, odwiedzaną przez krewnych, znajomych i zaprzyjaźnione znakomitości. Po to przecież, aby w nich świętować, w ogóle posiada się takie domy, nieprawdaż?



## 4.

Jako pierwsi pojawili się Szczepan i Ewelina, samochodem, który z wielkim przejęciem prowadziła ona, a zaraz potem dolinna taksówka przywiozła Adama.

Anna nie była pewna, skąd słynny redaktor w ogóle wziął tutaj taksówkę – w górach nie było o nie łatwo. Szczerze mówiąc, gospodyni wcześniej o żadnej nie słyszała. Któż jednak dałby radę zorganizować sobie transport, jeśli nie Adam, za którym ciągnęła się sława pracoholika i makiawelicznego szarlatana? Ponoć zwykle przemieszczał się taksówkami, ponieważ, jak twierdził, sporadyczne korzystanie z nich opłacało się bardziej niż utrzymywanie dwóch samochodów. Jeden musiała posiadać jego żona, rozwożąca po warszawskich szkołach liczną gromadkę ich córek. Adam, nie chcąc kupować drugiego, jeździł transportem publicznym. Nie wydawało się, aby szczególnie się poświęcał – chwalił się, że mógł pić, kiedy chciał, zostawać tam, gdzie chciał,

i nie musiał się troszczyć o opłaty parkingowe. Za większość kursów i tak płaciła jego redakcja.

W górach znalazł się na chwilę – przyjechał, aby załatwić ze Szczepanem pewną pilną sprawę, i zatrzymał się w jednym ze świeżo otwartych pensjonatów w dolinie. Organizując większe wydarzenie towarzyskie, nie wypadało pominąć jego osoby. Data spotkania została ustalona tak, aby mógł się na nim pojawić i być może „domknąć” swoje sprawy ze Szczepanem właśnie tutaj. Jako rozchwytywany publicysta i wiceszef jednego ze stołecznych tygodników, Adam był zresztą niezwykle atrakcyjnym gościem, miał znane nazwisko, znał mnóstwo plotek. Jeśli gospodyni dołożyła tego wieczoru dodatkowych starań, zrobiła to między innymi ze względu na niego.

Tak, Anna przyznawała się nawet sama przed sobą: gdyby chodziło tylko o pozostałych, pewnie starałaby się mniej. Szczepan uchodził wprawdzie za wielką pokoleniową osobistość, ale jednocześnie był starym znajomym – nie trzeba było przed nim niczego udawać. Kiedyś chodził z Anną i hrabianką do jednego liceum, a potem studiował na tej samej uczelni. Jeszcze później został doktorantem ojca Anny i choć tego doktoratu nie skończył (zrobił inny), to oznaczało to kolejne zacieśnienie więzów. Już dawno stał się dla nich kimś na kształt kuzyna – intelektualne powinowactwa i fakt, że wyszło się z takiego, a nie innego seminarium, często tak ciasno splatały się z prawdziwym pokrewieństwem, że trudno było je rozdzielić. Akademia pełna była takich przedziwnych klanów, w których rodowód intelektualny znaczył niemal tyle samo co wspólni przodkowie i gdzie słowa „uczeń”, „asystent” i „kuzyn” w zasadzie niewiele

różniły się znaczeniem, zapewniając w każdym razie bardzo podobne przywileje.

Ewelina, ostatnia z przyjezdnych, była żoną Szczepana, co samo w sobie wystarczyło za rekomendację. Kiedy obydwie z Anną zostały matkami, wymieniały się opiniami o pieluchach i restauracjach przyjaznych dla dzieci, wreszcie tytułami najmodniejszych książeczek – tysiącem spraw, o jakich zwykle rozmawiają rodzice. A ponieważ Anna nie należała do osób szczególnie wylewnych i rzadko pozwalała sobie na takie pogawędki, stanowiło to dowód wielkiej zażyłości.

Były to zatem dwie rodziny, które dojrzewały i starzały się równolegle, w tym samym czasie przeżywały zbliżone sukcesy i podobne porażki, stanowiąc jak gdyby dwie odmiany jednego losu. Ewelina ze Szczepanem prawie od dekady mieszkali w Warszawie, ale i oni bywali w tej okolicy, ponieważ także ich rodzice posiadali tu dom. Teraz przyjechali, bo planowali wczasy w Meksyku – miał to być ich pierwszy wyjazd od wybuchu pandemii, w dodatku dopiero drugi bez dzieci. Zjawili się w górach, żeby zostawić synów pod opieką dziadków. Ewelina od pewnego czasu mówiła tylko o plaży w Cancún i o kulturze Majów, na przemian ciesząc się z tego, co miała oglądać, i bojąc się dłuższej rozłąki z synami.

Meksykańska eskapada Szczepana była głównym powodem wizyty Adama. Redakcja tygodnika, w którym pracował, chciała zaproponować Szczepanowi stałą rubrykę. Miał podjąć obowiązki tuż po swoim powrocie. Trzeba było zawczasu omówić szczegóły i przypieczętować ustalenia uściskiem dłoni.

Wieczór był zatem, jak zwykle, okazją do podsumowań, świętowania sukcesów i towarzyskich awansów. Filip z Anną także mieli co fetować: on dopiero co uzyskał habilitację i mógł teraz porządnie wypocząć, ona skończyła renowację tarasu. Robotnicy zaledwie kilka dni wcześniej zabrali swoje rzeczy i dom nareszcie prezentował się tak, jak tego sobie życzyła.

Do tego na jednej ze ścian wisiał nowy obraz. Anna kupiła go niedawno w jednym z internetowych domów aukcyjnych. Czasem brała udział w takich transakcjach, na ogół na zlecenie rodziców. Zwykle kupowała mniej znane dzieła pierwszorzędnych malarzy, tym razem jednak rodzina zachwyciła się obrazem zapomnianego artysty. Kupując go, trochę ryzykowali – to Krystyna wyłowiła malarza z zapomnienia, tworząc wokół niego atmosferę niemałej sensacji. Trudno było o pewność, że to dobry artysta – nikt poza Krysią nie widział na żywo jego płócien. Kwota, którą należało wyłożyć, nie była duża, dlatego profesorostwo zdecydowali się złożyć ofertę. Kupili płótno na podstawie kilku zdjęć i niezbyt wnikliwej ekspertyzy znajomego historyka sztuki, licząc się z ewentualnością, że obraz, zwinięty w rulon, na zawsze trafi do piwnicy. Całe szczęście dzieło okazało się wybitne. Gospodyni niedawno odebrała je od krakowskiego ramiarza, bardzo drogiego, obsługującego także muzea narodowe – w nowej oprawie wyglądało jeszcze lepiej. Anna miała nadzieję, że ktoś je zauważy.

Tymczasem trwała towarzyska rozgrzewka.

– Macie tu naprawdę wspaniały widok – zachwyciła się Ewelina, wchodząc do jadalni. Znała tę panoramę i chwaliła ją za każdym razem, kiedy wpadała z wizytą. – Wiem, że robiłaś jakiś remont. Chcę zobaczyć, co się zmieniło.

Wieczór zaczynał się, jak powinien, od komplementów, więc trema Anny, przed chwilą spora, zaczynała powoli ustępować. Najważniejsze było przecież właściwie rozpocząć.

Czar podobnego spotkania jest łatwo zniszczyć już na wstępie, zwarzyć atmosferę, zanim wszyscy porządnie się rozsiądą: wystarczy jedno niedelikatne albo nieprzemyślane słowo. Między innymi dlatego Anna lubiła Ewelinę – zawsze można było liczyć, że pomoże, wybrnie z kłopotliwej sytuacji, zapyta o to, o co trzeba było spytać, lub zauważy zmiany, które powinno było się dostrzec. Żona Szczepana doskonale wiedziała, kiedy pociągnąć żart, a kiedy odpuścić. Jej uprzejmość, zupełnie nienadwątłona przez pandemiczną izolację, zdawała się przy tym całkowicie naturalna; była cechą charakteru, ale i czymś, czego nabywa się tylko w pewnego rodzaju rodzinach i pewnego rodzaju domach – wielodzietnych, sytych i szczęśliwych, w których codziennie rozmawia się o sprawach błahych i trudnych, wszystkie traktując z podobną uwagą. Ewelina pochodziła właśnie z takiej rodziny i była gościem, którego zawsze warto mieć przy stole.

„Tak naprawdę” – westchnęła w duchu Anna – „podobne wieczory są pokazem rzemiosła. Należy się zawsze odpowiednio zabezpieczyć, mieć pod ręką sprawdzone trunki i sprawdzonych ludzi”.

Procedura wizyty była znana wszystkim, a przecież łatwo mogła wyrwać się spod kontroli. Wystarczyłoby, że jedna osoba nie dochowa reguł, powie o słowo za dużo lub za mało i wszystko mogłoby się rozpaść, zakończyć awanturą. Kolację można zniszczyć tak samo jak potrawę – wystarczy jeden fałszywy ruch, gapiostwo albo kulinarna brawura. Istnieje przecież niewiele

spraw bardziej delikatnych niż towarzyskie i nie ma mniej przewidywalnej dynamiki niż ta, która rodzi się w punkcie spotkania kilku osób, nawet znających się na wylot – co bowiem, jeśli okaże się, że wcale się nie znają? Że łądzili się co do siebie i wiele lat utrzymywali bliskie relacje z kimś, kogo w zasadzie nigdy nie cenili? Albo że zmieniła ich pandemia – długotrwała izolacja mogła przecież wpłynąć na ich upodobania albo sprawić, że stali się mniej tolerancyjni. Rozpoczynający się obiad bardziej niż zwykle przypominał chodzenie po cienkim lodzie.

Dlatego Anna starannie dobrała gości. Chciała uniknąć zgrzytów i stworzyć zestaw doskonały – mieć przy stole przekrój całej swojej sfery, której granice stanowiły z jednej strony wspaniała Urszula, a z drugiej nieśmiała, choć obiecująca Krystyna. Gospodyni planowała więc gościć osoby zarówno ustosunkowane, jak i początkujące; takie, którym można było pomóc, i te, które powinny być raczej pomagać innym; pragnęła wreszcie mieć u siebie zarówno ludzi dobrze poinformowanych, jak i wiedzących niewiele (ponieważ ktoś musiał służyć plotek z nieudawanym zainteresowaniem), zawsze jednak z łatwością prowadzących rozmowę. Jakość konwersacji była tu kluczowa; ważne, żeby spotkanie toczyło się gładko, żeby opowiadano interesujące historie i osiągnięte zostały wytyczone cele, takie jak poznanie kogoś albo umożliwienie jakiegoś porozumienia (którego następnie Anna mogłaby się czuć patronką), ewentualnie przedstawienie interesującego debiutanta. Wszyscy też musieli rozjechać się najedzeni i w świetnych humorach. Wtedy można byłoby ogłosić sukces. Anna była go wyjątkowo spragniona.

Filip krążył wśród zgromadzonych, roznosząc drinki. Zapowiadał też kolejnych gości, którzy mieli się pojawić lada moment.

- Dzwonili. Ponoć już dojeżdżają - mówił, gdy obecni odbierali z jego rąk kieliszki z musującym wytrawnym winem albo szklaneczki z wodą sodową.

Krystyna jak zwykle stała z boku i wyglądała na lekko zdenerwowaną.

„Może w końcu się przełamie”, pomyślała Anna, zerkając z troską w stronę przyjaciółki. Była przecież miła i zdolna - co do tego gospodyni nie miała najmniejszych wątpliwości - tylko przy tym jakaś nieopierzona, nieobyta, jakby niezdolna do samodzielnego lotu. Trzeba jej było pomóc, jakoś ją poprowadzić, podszlifować. Anna od dłuższego czasu planowała pogodzenie Krystyny ze światem.

*Dalsza część książki dostępna w wersji  
pełnej.*

